Piewca Beskidu Śląskiego. Paweł Łysek (1914-1978).

Florian Śmieja

Paweł Łysek

Przeglądam kilkunastoletnią korespondencję ze zmarłym w Nowym Jorku pedagogiem i pisarzem Pawłem Łyskiem. Wracają dawne lata, poznanie w Londynie, a potem gościna w jego amerykańskiej rezydencji *Beskid Ranch* na Long Island; wreszcie odwiedziny jego skromnego domu rodzinnego w Jaworzynce i grobu na cmentarzu w Istebnej.

Paweł urodzony w 1914 roku w Jaworzynce, studiował na Uniwersytecie Jagiellońskim w latach 1935-39. Po wybuchu wojny zbiegł przed poszukującą go policją niemiecką na Węgry, przedostał się stamtąd na Wyspy Brytyjskie i wstąpił do Polskiego Wojska. Kiedy skończyła się wojna, wyjechał do Stanów Zjednoczonych, gdzie podjął studia bibliotekarskie. Jako bibliotekarz i wykładowca pracował na *City University* w Nowym Jorku od 1952 roku do swojej śmierci w 1978.

Pierwsze próby literackie przerwała wojna. Łysek nie odłożył jednak pióra zupełnie: pisał sumiennie pamiętnik, który miał później wydać w dwu tomach pod tytułem: „Z Istebnej w świat” (1960) oraz „Poszło na marne” (1965). To w tych książkach opowiedział koleje ucieczki na Zachód, swoją służbę wojskową, niezłomną wiarę w zwycięstwo słusznej sprawy, choć

jednocześnie nie taił rozgoryczenia do aliantów, którzy nie wywiązywali się z zaciągniętych wobec Polski zobowiązań. Absolutna szczerość relacji i ich prostota, to wielkie zalety jego wspomnień i obserwacji zwyczajnego żołnierza uwikłanego w największy konflikt naszych czasów. Prawda tych tekstów jest oczywista, a bije z niej nieugięty idealizm młodego pokolenia Polaków wychowanych między wojnami.

W wydawanym przed laty piśmie młodych w Londynie omówiłem książki Łyska. Był mi za to wdzięczny i namawiał dyskretnie, bym napisał recenzje do publikacji bardziej znanych, jak „Wiadomości" Grydzewskiego czy „Kultura" Giedroycia. Przebywając w Stanach Zjednoczonych czuł się nazbyt oddalony od tych dwu znakomitych pism ukazujących się w Londynie i w Paryżu. Polubił też moje „poetyckie pióro":

> Bo to już ten poetycki styl zawsze lepiej okrasi nawet rzecz, która nie grzeszy specjalną wielkością. Oczywiście z pokorą przyjmę i wszelkie ujemności i niedoskonałości napisane szczerze, jak to winno być w każdej bezstronnej krytyce.

Mimo, że był człowiekiem nieśmiałym i nie miał doświadczenia z promocją książek i do tego własnych, rozumiał dylemat recenzentów.

> …Pisanie omówień nie jest rzeczą specjalnie przyjemną, a zwłaszcza, gdy się osobiście zna autora; bo z jednej strony nie chce się urazić osoby, a z drugiej trzeba jednak kierować się obiektywizmem. Zdaję sobie też sprawę, że „Z Istebnej w świat" było rzeczą ciekawszą i więcej emocjonalną; zaś „Poszło na marne" – gdzie akcja odbywa się na dalekich tyłach – nie mogła tak bardzo zainteresować czytelnika – pisał w liście.

Czytając gwarą przetykane narracje, zarzuciłem mu bodaj nieuporządkowanie języka. Mało zdawałem sobie wówczas sprawę z tego, że przecież autor musiał się zmagać z płynnym zjawiskiem, gwarą nieskodyfikowaną, bez ustalonej gramatyki, słowników i innych wzorców, daleko od ludzi tym dialektem się posługujących.Niemniej Łysek od tych początków zajął się językiem bardzo intensywnie i zrobił w kolejnych publikacjach ogromne postępy.

Zachęcony ukazaniem się drukiem wspomnień, zwrócił myśl z kolei ku rodzinnej ziemi, ku górom w których się wychował i jej mieszkańcom. Zaczął pisać sceny i obrazki z życia górskich wsi używając gwary coraz śmielej. Tak powstał tom „Przy granicy" (1966). Pochwaliłem nową tematykę Łyska a on pospieszył z zapewnieniem

> …Jest Pan w części odpowiedzialny za urodziny tego dziecka.

Wiem, że także Kazimierz Wierzyński radził mu trzymać się tematyki beskidzkiej, szczególnie, kiedy zapoznał się z „Przy granicy”. W tej książce oglądamy panoramę trzech wsi: Istebnej, Jaworzynki i Koniakowa. Ich odrębność w mowie, stroju i obyczajach znalazła w Łysku najpilniejszego kronikarza, który je z pietyzmem odnotował i niejedno ocalił od zapomnienia. Pokazał bogaty, tradycyjny rok na wsi: skubanie pierza, wilię, prządki, obrzędy wielkanocne, przednówek, wesele, odpust, dożynki, różne święta, starte podania i przesądy. Książka okraszona piosenkami kończy się mocnym akcentem martyrologii górali w czasie okupacji.

Łysek znalazł się wreszcie w swoim żywiole, podjął właściwy temat, który okazał się rogiem obfitości rozpierającym swoją formę. Może dlatego Łysek dostrzegł z kolei możliwości powieści osadzonej w tym bogactwie i tak powstało „Twarde Żywobycie Jury Odcesty”.

Małorolny góral wraca z wojska austriackiego i szykuje się do ożenku i założenia rodziny. Inteligentny choć bez wykształcenia, ciężko pracuje, by zapewnić byt swoim. Nie jest obrotny, ma zbyt wiele skrupułów, nie umie przedkładać zysku nad wszystko inne. Prowadząc karczmę nie potrafi zapomnieć o tym, że rozpijanie

górali nie powinno być ceną lepszej doli jego rodziny. Kiedy wchodzi w spółkę, by handlować bydłem, pada ofiarą nieuczciwego wspólnika. Zostaje na koniec owczarzem, a postradawszy zmysły dostaje się do zakładu, z którego ucieka, aby umrzeć we własnym domu i mieć gazdowski pogrzeb.

Ta opowieść o górach, w których znalazły się szczegóły z życia ojca autora, przypomina nam także historię pierwszych osadników Beskidów, wplata ludowe podania i gadki, raz po raz rozbrzmiewa pieśniczkami, wśród których są autentyczne teksty samouka Jana Probosza.

Powieść jest umiejętnie skomponowana, przysłowia stanowią tytuły rozdziałów. Gwara pokazuje nieznane oblicze śląskiej ziemi. Obrazowanie jest oszczędne, naturalne, najbliższe rzeczy. Przekonywująca robota pisarska sprawiła, że nie powstaje banał.

Powieść jest owocem twardej walki Łyska: ze sobą, z miękkością spojrzenia i tendencją do popadania w łatwą ludowość; z językiem – z pewną obcością literackiej polszczyzny ustawicznie podważanej przez bliższą jego sercu gwarę nieokiełznaną rygorami mowy pisanej; z wydawcą i czytelnikami – żeby ich przekonać do niezwyczajnej tematyki, stylu i języka.

Znajdziemy w niej pamiętne strony, czujemy, że ostatnia zabawa w zamykającej się karczmie, ostatnia muzyka, jest lamentem i

trenem na przemijanie i odmianę życia beskidzkich górali. Serdeczną tęsknotą autora, górala rzuconego w inny kamienny świat.

Paweł Łysek z góralami, fot. arch. F. Śmieji.

Moje pisanie w podobnym tonie spotkało się z żywą aprobatą Łyska. Zrozumiał, że udało mi się wyczuć „duszę” jego twórczości.

> Bo zakątek to piękny, a lud dobry i poetyczny. Szkoda, że ząb czasu, system i inne wpływy niedobrej cywilizacji niszczą to wszystko, co wieki zbudowały. I to było jednym z celów mojej książki, by świat ten – jego zwyczaj i obyczaj ratować choć w książce.

W tym samym liście autor doniósł, że wysłał do Giedroycia, do Paryża nowy maszynopis powieści „Marynka, cera gajdosza”.

> Książką tą chciałem zamknąć moją trylogię beskidzką i szukam na nią wydawcy. Oby się rzecz „uzdała” Giedroyciowi, choć wątpię, by to wydawał, bo pisząc do mnie, spodziewał się, że rzecz będzie miała szersze podłoże polityczno-społeczne, a w rzeczywistości tak nie jest.

Już kilka lat wcześniej w roku 1970 namawiając mnie do napisania recenzji „Twardego żywobytu…” Łysek objaśniał:

> ...Jest to druga książka mojego cyklu beskidzkiego (czy epopei beskidzkiej – jak to nazwali i Most w Polsce i Kowalewski w Londynie); pierwsza książka z tej serii była „Przy granicy", druga, „Jura Odcesty", a trzecia będzie „Roztomiła Marynka". Akcja ostatniej rozgrywa się w Beskidzie i na Zaolziu. Tak chyba wyczerpałbym tematykę beskidzką.

Łysek nabrał zaufania do mojego odczytywania jego twórczości. powieściowej, wiedział, że może liczyć na sympatyzujące opinie dotyczące roli gwary, a wiedział, że opisywane ziemie nie były mi obce, a tym bardziej egzotyczne. Zwierzył się, że długo się zastanawiał, czy mnie nie poprosić o napisanie wstępu do „Marynki", która się miała ostatecznie ukazać w Londynie w serii biblioteki Polskiej Fundacji Kulturalnej. Zwrócił się więc do W. Oszeldy z Cieszyna, otrzymał szkic, który mi przysłał z adnotacją:

> Chcę byś miał to w całości, bo Sakowski to pewno skróci, jako że rzecz jest nieco za długa. Jest to ładnie napisane, ale może za wiele jest pochwał pod moim adresem. Ale Oszelda to bardzo romantyczny człowiek i wielce zakochany w Beskidzie.

Kiedy na jesieni 1973 roku wyszła „Marynka” Łysek przysyłając mi egzemplarz i cytował opinię wydawcy, Sakowskiego, wyrażoną Marii Danilewiczowej, że to jego najlepsza książka, lepsza od „Jury”. Nic więc dziwnego, że autor bardzo się uradował i prosił mnie o opinię uważając, że jestem, jak się wyraził, „specjalistą od moich śląskich powieści i opowieści”. Nawet spytał wprost:

> Czy nie uważasz, że może moja „Marynka” byłaby lepsza do przedruku w Kraju? Oczywista, to wcale nie dowodzi, że tam cokolwiek wydadzą, bo nad Szewczykiem jest cenzura i sto innych urzędów.

Myśl tę powziął na wieść, że Oszelda rozmawiał z Wilhelmem Szewczykiem, redaktorem szeregu śląskich czasopism społeczno-kulturalnych, pisarzem i publicystą oraz obrońcą śląskości przed próbami internacjonalistycznego równia i rugowania regionalnych cech i tradycji.

Koronczarki z Koniakowa, 1970 r., fot. E. Poloczek.

Opowieść o Ślązaczce z wiejskiej biedoty była zamierzona jako zamknięcie cyklu o tematyce beskidzkiej. Nie przypominam już sobie, co autorowi na jej temat powiedziałem, bo w tym czasie miałem kłopoty z otrzymaniem egzemplarza książki, a potem w ferworze wyjazdu z całą rodziną na rok do Europy (do Polski i Hiszpanii) straciłem orientację i rachubę czasu, tak że nie zdołałem spisać w terminie swoich odczuć i urwała się nasza korespondencja.

Tadeusz Nowakowski, nie znający stron Łyska poświęcił „Marynce” dłuższe omówienie. Zauważył, że niskie pochodzenie jego protagonistki dało autorowi uczulonemu na dolę ludu sposobność do ewokacji klimatu moralnego przedwojennego Śląska po obu stronach Olzy (fabuła toczy się za młodości narratora), zobrazowania psychologii i mentalności tubylczej, ukazania barwnej panoramy folkloru, obyczaju, świata wierzeń, ocalenia wielu pieśniczek, reliktów obrzędowych, przysłów, powiedzonek i rarytasów językowych przed zapomnieniem.

Po napisaniu trylogii góralskiej Łysek przypomniał sobie jeszcze temat zbójnicki. Jego bohaterowie idą wprawdzie w ślady słowackiego Janosika i jego śląskiego odpowiednika Ondraszka, ale nie przestają być prawymi synami jego górskich dziedzin. Ich barwne życie biegnie równocześnie naturalnym trybem. Do lasu pędzi ich los, lecz dobra natura nie pozwala na wyuzdanie. Każdemu z tych beskidzkich młodych, kryjących się w lasach przed poborem do wojska austriackiego, przyświeca ideał, by jedynie uszczknąć trochę bogactwa zachłannego handlarza. Łup pozwala im przetrwać do czasu, kiedy ustaje łapanka i nadarza się okazja, by osiąść w jednej z przygranicznych wsi, ożenić się z wierną dziewczyną i na powrót stać się częścią gromady. Zbójnicy często nie tylko zabierają bogaczom, ale wspierają nędzarzy i zabezpieczają byt nieszczęśliwych.

Nie odzierając swoich postaci z romantycznej aury, Łysek

pokazuje, że zbójnikiem stawał się skrzywdzony sierota, dezerter z wojska, owczarz w wieku poborowym, który ukochał wolność w górskich ustroniach i z lubością słuchał opowieści i śpiewek o zbójnikach. Nie dziwi więc pogodne zakończenie książki.

W mieszkaniu państwa Wittlinów w Nowym Jorku. Od lewej: Paweł Łysek, Florian Śmieja, Józef Wittlin, fot. arch. F. Śmieji. Fotografia ukazała się na Culture Avenue jako ilustracja wywiadu Ewy Wielgosz z prof. Florianem Śmieją na temat Józefa Wittlina.

W trzech książkach stanowiących trylogię góralską, Łysek ustrzegł się powtórzeń, słownictwo stało się naturalne, stosowne i oczywiste, a zdolne olśnić. Wiele poezji znajdziemy w opisach góralskich sytuacji dzięki delikatności omówień, wdzięcznemu

oddaniu nawet scen drastycznych, ciągłej świeżości opisów. Nie było zresztą na śląskiej wsi wulgarności tak często szpecącej inne regiony Polski. Książka o zbójnikach gorzej mu się udała. Jakby była resztówką, materiałem zbyt skąpym, nie przetrawionym, zbyt pośpiesznie wtłoczonym w ramy książki. Zbytni w niej pośpiech i towarzyszące mu niedociągnięcia formalne.

Ostatnie siły poświęcił pracy nad przekładem książki „Przy granicy" na język angielski. Robił to wraz ze studentami. Wysiłek to był ogromny. Oszelda napisał wstęp. „Rzecz jest napisana szumnie i romantycznie, stąd tyle trudności w tłumaczeniu". Chciał mojej pomocy, ale respektował moje zajęcia, a zależało mu bardzo na pośpiechu, bo opuszczały go siły.

Nie doczekał ukazania się angielskiej wersji „Przy granicy". Zmarł na raka, z którym się zmagał przez trzy lata, w szpitalu w Huntington. Po śmierci ubrano go w czerwony góralski *bruclik*, ciało spopielono, a prochy pochowano na cmentarzu w Istebnej.

W swojej korespondencji ze mną rozpisywał się o swoich książkach i sposobie ich promocji. Wydawcy nie mogli liczyć na zyski ze sprzedaży, więc zazwyczaj zobowiązywali autorów do udziału w kosztach wydania. Ten koszt mógł się zwrócić, choćby częściowo, w miarę jak się książka sprzedawała.

Krytycy emigracyjni uważali za swój ważny obowiązek promowanie nowych wydawnictw. Publikacje Łyska przyjmowali ciepło, taktownie, jako ciekawe, nieznane, czy zgoła egzotyczne narracje pisane osobliwym językiem. Dostrzegając dobre chęci autor szukał jednak zrozumienia i pokrewnego odczucia. Znajdował je w Polsce m.in. u W. Oszeldy. Polubił także moje omówienia, gdyż wyczuł w nich sympatię dla gwary i znajomość terenu, o którym pisał. Kiedy np. Tadeusz Nowakowski poświęcił „Marynce" obszerny artykuł, Łysek ocenił go jako tekst bardziej rozgadany i efekciarski niż właściwy. W liście do mnie komentował, że krytyk ów pisze z werwą i barwnie, ale gdyby całość ścisnąć, to niewiele by z artykułu zostało. Nie mogły też – rzecz jasna – podobać mu się aluzje do skansenu i małe zrozumienie dla gwary i lokalnych obyczajów.

Koniaków, fot. pinterest.

Z listów wyziera człowiek zajęty i doceniany na uczelni pedagog. Wiemy, że ucząc swoich studentów wpajał w nich nie tylko wiedzę o Polsce, ale i respekt, a nawet miłość do niej. Przejęty swoim pisarstwem przynoszącym mu pierwsze sukcesy zabiegał o dalsze powodzenie werbując recenzentów, gromadząc cierpliwie materiały, szlifując nieustannie język. Wiedział, czego szukał, niemniej przeto chciał się upewnić. Pragnął zjednać czytelników i krytyków swojemu odrębnemu światu i osobliwemu językowi. Intensywna aktywność jeszcze wzrosła w miarę jak choroba zamiast mijać, stawała się bardziej groźna.

W liście z 3 maja 1977 roku donosząc o pertraktacjach z „Oficyną Poetów i Malarzy” w Londynie w sprawie angielskiego wydania „Przy granicy” dodał:

> Spieszę się z tym wszystkim, bo przy mojej chorobie człowiek nie wie, co nastąpi w najbliższej przyszłości.

Planował równocześnie wyjazd do Polski, a na jesieni chciał wystąpić w Toronto na wieczorze autorskim. Ciężkie operacje kazały mu jednak zaniechać ambitniejszych planów. Inny list, z 22.2.1978, był zwięzły i pisany ręką. Zaczynał się od słów:

> Łódź mego żywota dobija obcych, ale już ostatecznych brzegów.

Zawiadamiał przezornie:

> Nie wiem wiele jeszcze listów otrzymasz ode mnie. Nie licz na wiele.

W P.S. jednak dodał charakterystycznie:

> Liczę, że napiszesz też coś do prasy polonijnej lub kanadyjskiej, dobrze?

Do końca choroba zmagała się z potrzebą przekazania pamięci o rodzinnej ziemi jak najpełniej i najdoskonalej. Kiedy wreszcie zmogła go śmierć, dzieło było gotowe. Baca sprowadził swoje owieczki do bezpiecznej doliny.

Przebywanie w oku najostrzejszych przemian społecznych i kulturowych, w metropolii tętniącej nowościami czasu, Łysek paradoksalnie znalazł sprzyjającą przystań, która mu pozwoliła na spokojne kontemplowanie utraconej młodości spędzonej w górskiej oazie. Z trucizny nostalgii czerpał życiodajne soki umożliwiające mu powrót do raju na kartkach swoich książek. Zamiast zagubić się w zgiełku i bazarze wielkiego świata, stał się pilnym kustoszem i zachowawcą szczęśliwego wieku niewinności ludzi i przyrody rodzinnych stron, ukochanego Beskidu Śląskiego.